

JOE ALEX

ŚMIERĆ MÓWI
W MOIM IMIENIU



BUKOWY LAS

ROZDZIAŁ 1

ZBYT WIELKA TOREBKA

Kiedy inspektor Benjamin Parker, tak bardzo niepodobny do inspektora Scotland Yardu w swoim doskonale skrojonym wieczorowym stroju, zadzwonił do drzwi mieszkania Joe Alexa, ten ostatni zawiązywał właśnie krawat. On również nie przypominał autora powieści kryminalnych. Był wysoki, młody, przystojny i raczej pogodny, nie był też małomówny, co na ogół stanowi nieodłączną cechę detektywa amatora.

Nikt także, spojrzawszy po raz pierwszy na Karolinę Beacon, nie przypuściłby, że jest ona obiecującym archeologiem. Była to dziewczyna śliczna, spokojna, włosy miała związane w długi jasny ogon i przypominała raczej młodą aktorkę niż młodego uczonego. W tej chwili, ubrana w wieczorową suknię, siedziała na poręczy fotela i przyglądała się Alexowi, który walczył z krawatem, starając się nie dotykać palcami gorsu koszuli.

– Zwycięzysz w końcu... – wspierała jego wysiłki. – Człowiek zawsze w końcu zwycięża materię...

– W miarę upływu lat zaczynam być o tym coraz mniej przekonany. – Alex spojrzał z uśmiechem na swoją piękną przyjaciółkę. Potem, nie puszczając krawata, zerknął na zegarek. – Ben Parker powinien zaraz zadzwonić do drzwi.

W tej samej chwili inspektor zadzwonił. Alex przedstawił go Karolinie i wyciągniętą ręką wskazał mu fotel, po czym cofnął ją natychmiast i zawołał:

– Pomóż, człowieku!

Inspektor zawiązał krawat i wszyscy usiedli.

– Mamy jeszcze pół godziny, a mój wóz stoi przed domem – rzekł Alex. – Będziemy na miejscu w ciągu pięciu minut. Powinieneś wzmocnić czymś nadwątlone siły... – zwrócił się do inspektora, a potem zerknął na Karolinę. – Czy napijesz się z nami?

– Nawet sama. – Panna Beacon uśmiechnęła się skromnie. – Pan inspektor zapewne whisky bez wody? Ja też, ale z odrobiną lodu.

Joe nalał, ostrożnie zanurzył w jednej ze szklanek lśniąca kostkę lodu i usiadł.

– To dobrze, że nareszcie poznaliście się – powiedział ze szczerym zadowoleniem. – Lubię, kiedy moi przyjaciele chodzą stadami.

Karolina uśmiechnęła się, a Parker skłonił lekko głowę.

– Jestem zaszczycony poznaniem pani – szepnął, a potem normalnym już głosem dodał: – Wiele o pani

słyszałem, nie tylko od Joe. Wydaje mi się jednak, że czytałem gdzieś w prasie o pani wyjeździe. Na pewno się myślę, ale kiedy pisano o ekspedycji, która miała wyruszyć do Persji, wydawało mi się, że wymieniono pani nazwisko.

– Nie. Nie myli się pan. Tylko że nie odpłynęliśmy, bo kierownik wyprawy, sir Thomas Dodd, zachorował ciężko. To wprowadziło wiele zmian, a cała sprawa odwlekła się o dwa miesiące. Podobno jest mu lepiej, ale nie wierzę, żeby pojechał. Sir Thomas był operowany na raka... No, ale nie mówmy o tym, bo to smutne sprawy. Joe, jeszcze prędko kropelkę whisky i wyruszamy! Bardzo chcę zobaczyć te *Krzęsta*. To dobrze, że pan nas zaprosił, inspektorze. Od rana do południa jechaliśmy dzisiaj samochodem z Torquay i zaledwie miałam czas pojechać do domu i się przebrać...

Inspektor zauważył, że przy tych słowach Karolina Beacon zarumieniła się lekko, a Alex sięgnął po butelkę i zaczął pośpiesznie nalewać do szklaneczek. Parker zsumował to błyskawicznie z trzema stojącymi w holu walizkami i zrozumiał, że Karolina Beacon rzeczywiście jechała dziś w ciągu całego dnia autem z Joe Alexem, ale zapewne nie była jeszcze u siebie w domu i prawdopodobnie dzisiaj tam już nie dotrze. Ciekawiło go, dlaczego ta para interesujących, samotnych młodych ludzi, którzy nie mogli się już od roku bez siebie obyć, nie bierze ślubu. Ale inspektor Parker widział w swoim życiu nie takie zagadki, a tej, na szczęście, nie miał obowiązku rozwiązywać. Przypomniał sobie tylko nagle,

że prawdziwe zbliżenie między Karoliną a Joe Alexem nastąpiło właśnie przed rokiem, po tym, gdy obaj rozwiązyali zagadkę śmierci ich wspólnego przyjaciela i kolegi z czasów wojny, Iana Drummonda... „Więc to już pełny rok...” – pomyślał nagle z cichym zdumieniem, jakie ludzie często odczuwają na wspomnienie szybkości upływu czasu. Wyrwał się z zamyślenia i żeby nawiązać przerwana rozmowę, powiedział:

– Podobno to przedstawienie jest bardzo, ale to bardzo nowoczesne. A przyznam się, że dla zwykłego policjanta sztuka nowoczesna jest trochę trudna...

– Czytałam tę sztukę... – przerwała mu Karolina – i myślę, że nie ma w niej niczego dziwnego. Mówi ona po prostu, że życie ludzkie jest nonsensem, że do niczego nie prowadzi, niczemu nie służy, że nikt nikogo nie zapamięta i nikt niczego nigdy nikomu nie wyjaśni.

– Hm... – Parker się zamyślił. – Jeżeli w takim stosunku żywego człowieka do życia nie ma niczego dziwnego, to... – urwał i spojrzał na zegarek. – Ale musimy już iść. A zresztą, mam nadzieję, wytłumaczy mi to pani po przedstawieniu, jeżeli będzie pani taka uprzejma, i to własnymi, przystępnymi słowami.

– Odwagi! – mruknął Alex, nie wiadomo czy do inspektora, czy do przyjaciółki.

Karolina wstała i ujęła Parkera pod ramię.

– Nowoczesna sztuka służy do odgadywania podświadomości człowieka i ukrytych pobudek jego działania.

– To znaczy, że służy mniej więcej temu samemu celowi co policja! – Alex się roześmiał.

Zeszli do samochodu, a po paru minutach znaleźli się już na Crosby Street i zatrzymali przed jasno oświetlonym gmachem, wzdłuż którego frontonu biegł na wysokości pierwszego piętra ruchomy, migotliwy napis: DZIŚ KRZESŁA... DZIŚ KRZESŁA... DZIŚ KRZESŁA...

Weszli.

– Jeszcze tylko jednego papierosa! – zaproponował Alex. – Zdążymy chyba. W przeciwnym wypadku będę się męczył pod koniec aktu. Nie umiem dłużej niż godzinę wytrzymać spokojnie bez palenia.

W palarni było nadal dość dużo osób. Usiedli wszyscy troje przy jednym z ukrytych w rogu stolików i zapalili.

– Pełno! – powiedział Parker. – Zdaje się, że pisarz, który mówi ludziom, że ich życie nie ma sensu, zarobi na tym tyle, że przynajmniej jego własne życie stanie się bardziej sensowne.

Alex się roześmiał. Karolina potrząsnęła głową z dezaprobatą i otworzyła usta, ale jej uwagę przykuła grupka osób stojących niedaleko wejścia do foyer. Wskazała je oczyma Alexowi.

– To właśnie oni, rodzina sir Thomasa Dodda. Żona, córka i narzeczony córki.

– Czy to jest Anna Dodd? – zapytał Parker, wskazując młodą, ładną dziewczynę w prostej, doskonale skrojonej sukni.

– Tak. Słyszał pan o niej?

– Niewiele. Tylko tyle, ile podawała prasa. Od dwóch tygodni jest jedną z najbogatszych dziewcząt w Anglii. Jakiś spadek, zdaje się.

– Tak. Umarł jej stryjeczny dziadek, sir Hugh Garry, ten potentat węglowy. Ona sama była najbardziej chyba zdziwiona tym spadkiem, bo poznała sir Hugh'a, będąc dzieckiem, i nie widziała go więcej niż pięć albo sześć razy w życiu. Ale podobno gdy jako dziecko była u niego kiedyś w odwiedzinach podczas jego choroby, pielęgnowała go, nie odstępując ani na krok, płacząc i nie dając się odciągnąć starszym. Po paru dniach wyzdrowiał i wydawało się, że po latach nie będzie o tym pamiętał. Ale w testamencie napisał, że był to jedyny w ciągu ostatnich czterdziestu lat jego życia wypadek, kiedy któryś z krewnych bezinteresownie okazał mu sympatię. Cóż, pieniądze nie zawsze przynoszą prawdziwą przyjaźń, raczej przeciwnie. No i tej jedynej osobie, która mu współczuła, nie licząc na jego pieniądze, zapisał je wszystkie. Był zresztą starym kawalerem i mógł z nimi zrobić, co zechce.

– Tak. Czytałem. Nie był to długi testament. Prasa podała go w całości: *Cały mój majątek, bez żadnych ograniczeń, zapisuję mojej krewnej Annie Dodd, a gdyby, czego niech Bóg nie da, zmarła przed jego uzyskaniem, przejdzie on na własność mojej dalszej rodziny, z tym że dziedziczyć po mnie mogą tylko ci, którzy połączeni są ze mną węzłami krwi, a nie powinowactwem...* – I w ten sposób ta ładna dziewczyna stała się posiadaczką astronomicznej sumy dwudziestu pięciu milionów. Zdaje się, że przekazanie spadku nastąpić ma za kilka tygodni.

– A czy ten młody człowiek otrzyma ową sumę wraz z jej ręką? – zapytał Joe.

– Nie sądzę, żeby na to nalegał. Na szczęście sam jest dostatecznie bogaty, żeby nie mówiono o nim jako o łowcy posagu. Zresztą zaręczyli się, zanim komukolwiek przyszło do głowy, że Anna może uzyskać taką fortunę. W chwili zaręczyn to raczej on żenił się z nie bardzo zamożną panną. To Charles Crosswell, drugi syn lorda Conthorpe.

– Jeden z najlepszych strzelców i fechtmistrzów, jakich mamy... – dodał Parker. – Zetknąłem się z nim kiedyś w sprawie jednego z jego młodych przyjaciół. To dobry chłopak. Sportowiec, dobrze urodzony i bez zawodu, słowem, posiada wszystko, czego wymaga się od Anglika z towarzystwa.

– Mimo to nie wyglądają, jak gdyby tych dwadzieścia pięć milionów dawało im wiele szczęścia – zauważył Alex. – Miny mają raczej jak ludzie o paru tysiącach funtów rocznego dochodu.

– Na pewno znowu pogorszyło się zdrowie sir Thomasa... – przypomniała Karolina. – Ale w takim razie dlaczego są w teatrze...? W dodatku mama Dodd ma kosztowną torebkę.

– Przestańmy plotkować o naszych bliźnich. Wystarczy, że oni plotkują o nas... – zakończył rozmowę Alex, ale mimo to zerknął na torebkę, którą pani Angelica Dodd, matka Anny, trzymała w ręku.

Rzeczywiście, torebka była kilka razy większa niż zwykle teatralne maleństwa i jak gdyby czymś

wypchana. Angelica Dodd była niewysoką kobietą o twarzy, której drobne, wyraziste rysy zachowały jeszcze wiele śladów piękności. W pewien sposób była nawet ładniejsza niż córka, chociaż policzki jej nie miały tej świeżości, którą może dać tylko nieprzekroczony dwudziesty rok życia. Stała pomiędzy młodymi, wachlując się lekko programem. W pewnej chwili skinęła na Annę i ruszyła w stronę foyer.

– Chodźmy! – Karolina uniosła się lekko z fotela i poszła w tym samym kierunku co znikająca w drzwiach trójka osób.

Zadźwięczał dzwonek.

Sala była pełna. Światła przygasły nieco, dając jak gdyby sygnał, że należy pośpieszniej zajmować miejsca. Alex kupił dwa programy, z których jeden podał Karolinie, a drugi Parkerowi. Usiedli. Miejsca ich były pośrodku czwartego rzędu. Tuż przed nimi, nieco na lewo, usiadła Angelica Dodd, mając po obu stronach córkę i jej narzeczonego.

– Znakomite miejsca. – Karolina uśmiechnęła się do Parkera. – Najbardziej lubię czwarty i piąty rząd. Nie jest tak blisko, żeby widzieć szminkę i szczegóły charakterystyki, a jednocześnie jest tak blisko, że widzi się każde drgnienie twarzy aktora. Zresztą ci, którzy się na tym znają, mówią, że z tych rzędów należy oglądać sztukę, bo właśnie siedząc w nich, reżyser prowadzi próby.

Alex pochylił się i zajrzał do programu, który Karolina trzymała na kolanach. Odczytał obsadę:

STARY – lat 95 – Stephen Vincy
STARA – lat 94 – Ewa Faraday
MÓWCA – lat 45–50 – Henryk Darcy
I WIELE INNYCH OSÓB
Reżyseria: HENRYK DARCY

W tej samej chwili światła zgasły zupełnie. Nastąpiła chwila ciemności, rozświetlona jedynie czerwonym blaskiem maleńkich żarówek bezpieczeństwa nad wejściowymi drzwiami.

Równocześnie zapaliły się dwa wielkie reflektory za plecami widzów, kładąc na powierzchni ciemnej kurtyny dwa niemal nachodzące na siebie kręgi ostrego światła. Niedostrzegalnie dla publiczności kurtyna uniosła się i blask reflektorów wyłonił z pustki scenicznej dwie postacie starych ludzi siedzących w krzesłach. Ubrani byli oboje dziwacznie. Stary miał na sobie luźną szarą bluzę, uszytą jak gdyby z worka. Do jej ramion doczepione były epolety. Granatowe spodnie zaopatrzone były w czerwony huzarski lampas. Na nogach, zarówno on, jak i Stara, mieli znoszone ciepłe bambosze. Stara ubrana była w suknię podobną z barwy i kroju do bluzy Starego, bezkształtną i workowatą.

Przyglądający się kostiumom i dekoracjom Alex opuścił dwie czy trzy kwestie, ale zaraz potem tekst dotarł do jego uszu. Stary człowiek wstał i podszedł do jednego z dwu okien umieszczonych w lewym i prawym końcu dekoracji.

– ...Barki na powierzchni wody lśnią w słonecznym blasku... – powiedział w rozmarzeniu.

– Nie możesz ich dostrzec. Słońce skończyło się. Jest noc, mój milutki.

– Pozostał po nich cień...

Kwestie biegły dalej, szybko, jedna po drugiej i Alex od razu, od pierwszych słów zrozumiał, że jest świadkiem niecodziennego wydarzenia w sztuce. Tekst obnażał prosto i przerażająco tragedię współczesnego człowieka, jego niezrealizowane nadzieje, bezmierną samotność, niewyzwolone marzenia i płaską rzeczywistość istnienia, którego jedyną drogą jest droga do grobu. Aktorzy mieli na twarzach maski przypominające maski greckie i wyrażające ogólnie pojętą starość. Głos i ruchy nie podlegały prawom starości, ale ukazywały wieczną, tragiczną młodość i naiwność człowieka wobec losu. W ten sposób aktorzy nie musieli grać starych ludzi, ale stwarzali na scenie sprawę o wiele ważniejszą: dawali syntezę starości, grali wszystkich starych ludzi, którzy istnieli i istnieją, co podnosiło wymiar tej zdumiewającej sztuki nieomal do godności greckiej tragedii.

Alex spojrzał na Parkera. Inspektor siedział pochylony nieco ku przodowi, oczy miał lekko przymrużone i od czasu do czasu wykonywał drobne, potakujące ruchy głową. Karolina siedziała zupełnie nieruchomo, ale oczy jej błyszczały jak dwie błękitne gwiazdy.

Sztuka doszła do momentu, kiedy Stary, zaprosiwszy wszystkich znanych sobie w przeszłości i znaczących

coś obecnie ludzi, czeka na ich kolejne pojawienie się. Nie wszedł oczywiście nikt, ale wizja dwojga starych trwała nadal. Urojeni goście zaczęli przybywać, a starzy ludzie wszystkimi drzwiami wnosili krzesła dla tych cieni przeszłości. Stefan Vincy był niezrównany, kłaniał się w powietrzu, podawał rękę, tak sugestywnie brał pod ramię niewidzialnych, że cały ten pusty teatr zjaw zdawał się wypełniać uchwytnymi istotami. W tej chwili wprowadzał właśnie nowego urojonego gościa: Panią Piękną. Aksamitny, głęboki głos aktora zmienił się nagle w gruchanie gołębia:

– ...to jednak pani! Przed stu laty kochałem panią... Tak ogromnie zmieniła się pani... Zupełnie się pani nie zmieniła... Kochałem panią... kocham panią...

Nieomal płacząc, Vincy mówił dalej:

– ...ach, gdzież są niegdyśjsze śniegi...

Zafascynowany głosem aktora, upojony tragikomiczną sytuacją, Alex usłyszał nagle stłumione westchnienie i cichy, urwany szloch. Odwrócił na chwilę wzrok od sceny. Któż to płakał? Rzadko spotykało się w Anglii ludzi, którym ciekły łzy podczas przedstawienia w teatrze. To nie były Włochy, ale spokojny, zrównoważony Londyn.

Ku swemu zdumieniu dostrzegł, że płacze pani Angelica Dodd. Nie płakała w całym tego słowa znaczeniu, ale ocierała chusteczką załzawione oczy.

„To dziwne... – pomyślał Joe, którego pasją było ocenianie ludzi od pierwszego wejrzenia. – Byłbym przysięgł, że ta kobieta umie ukrywać swoje

prawdziwe uczucia, a cóż dopiero wzruszenia wywołane tekstem teatralnym”.

Ale pani Dodd wyprostowała się już i zauważył, że odwróciwszy głowę w stronę córki, obdarowała ją lekkim, przepraszającym uśmiechem.

Po chwili pierwsza połowa spektaklu dobiegła kresu i zabłyśły światła.

ROZDZIAŁ 2

VIN-CY! VIN-CY! VIN-CY!

Dzwonek wzywający do zajęcia miejsc zadźwięczał powtórnie – długo i przenikliwie. Karolina dopiła kawę, którą Alex przyniósł jej z bufetu. Wokół palarnia szumiała fragmentami podnieconych rozmów. Ludzie dyskutowali zawzięcie, ożywienie było ogromne.

Wstali. Parker potrząsnął głową.

– Patrząc na to – uświadomił sobie ze zdziwieniem, które jak gdyby dopiero w tej chwili przeniknęło do jego świadomości – nie rozumiem zupełnie, dlaczego ludzie popełniają zbrodnie. Przepraszam za moją skazę zawodową, ale zbrodnia to, bądź co bądź, bardzo poważne wydarzenie w życiu mordercy, najczęściej decydujące. Po co zabijać? Po co niszczyć istnienie innego człowieka, jeżeli i on, i ja, i my wszyscy jesteśmy tak beznadziejnie, okropnie skazani na śmierć? Czy nie przyzwoliciej byłoby spokojnie przeżyć życie, starając się, żeby było znośne dla nas i dla innych, równie skazanych jak my?

Przecież po tej sztuce świat wygląda nieomal jak cela więzienna, z której jest tylko jedno wyjście: na szafot. A w celi powinna panować solidarność.

– Morderca – odpowiedział Alex – myśli podobnie, ale trochę inaczej. Jeżeli nawet rozumuje tak jak Ionesco, że wszyscy ludzie muszą zginąć i nie pozostaje po nich nic osobistego, może jednak sądzić, że w takim razie wolno zabijać ludzi, których się nienawidzi, bo przecież przyśpiesza się tylko nieuchronny koniec, a równocześnie umila się życie sobie. Każda zbrodnia ma jakiś podstawowy motyw. Niszcząc kogoś, morderca zyskuje coś: skarby, miłość, zaspokojenie instynktu zemsty. Czasem jest to zbyt daleko posunięta samoobrona, czasem pasja. Ale każdy z tych motywów może być przedstawiony przez mordercę jako absolutna konieczność, a im bardziej literatura będzie przekonywała ludzi, że ich istnienie jest przejściowe i niezbyt ważne, tym bardziej usprawiedliwieni będą mordercy we własnych oczach. Na szczęście rzadko wywodzą się oni spośród miłośników nowoczesnej literatury.

– Dosyć! – przerwała Karolina. – Jeden z was zajmuje się zabijaniem ludzi na papierze, a drugi chwytaniami zabójców w rzeczywistości. Ale pamiętajcie, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi na świecie nie widziało nigdy zamordowanego człowieka, a gdyby nie prasa, nie słyszałoby o nim także. Zbrodnie zdarzają się zawsze gdzieś bardzo daleko i nikt nie wierzy w nie naprawdę, dopóki się z nimi nie zetknie. Stosunek do zbrodni nie należy do podstawowych cech światopoglądu.

– Nie jestem tego taki pewien – zauważył inspektor. Umilkli.

– Ażeby zmienić temat – powiedziała Karolina – trzeba przyznać, że i reżyseria jest znakomita. Ale Vincy przechodzi samego siebie w roli Starego.

– Wobec tego my zajmiemy się chwaleniem Ewy Faraday. Czy wiesz, że ona ma dwadzieścia pięć lat? – zapytał Alex. – To wielki talent.

– Tak, ale...

W tej chwili przygasły światła, Karolina odwróciła głowę ku zapuszczonej kurtynie, jakby pragnęła przebić ją wzrokiem i wyłowić działające postacie. Zablysły reflektory.

Przerwa nie zatrzymała biegu spektaklu. Podczas niej narosły na scenie rzędy krzeseł, stanowiły już one całe góry i wąwozy, wśród których jak w upiornym pejzażu poruszali się aktorzy. Nagromadzenie urojonych gości doszło do fantastycznych rozmiarów. Dwieście, trzysta krzeseł... a oboje Starzy wnosili coraz to nowe. Atmosfera zagęszczała się coraz bardziej. Stary i Stara rozmawiali z nieobecnymi, strofowali ich, obsypywali komplementami, odprowadzali na przeznaczone miejsca. Lecz Alex, który nie spuszczał wzroku z aktorów, wyczuł inny nieco ton niż na początku. Vincy stał się bardziej twardy, bardziej był symbolem niż człowiekiem, jego tekst padał teraz jak tekst kogoś, kto nie chce widzowi powiedzieć: „Oto jestem Ja, aktor, i wcielam się w postać, którą widzicie!” – ale bardziej: „Wyrażam tylko tę postać i przy jej pomocy chcę się z wami podzielić myślą autora!”.

Alex wołał tę drugą koncepcję. Była mniej melodramatyczna i bliższa współczesnemu, myślącemu człowiekowi. Natomiast Ewa Faraday gubiła się trochę w roli i jakby nie wytrzymywała ogromnej koncepcji, którą narzuciła sobie w pierwszej połowie sztuki. Ale może to tylko olśniewająca, rozwijająca się z każdą sekundą kreacja jej partnera zepchnęła ją po prostu w cień? Zdawała się trochę szara przy tym fajerwerku ludzkiej myśli, jakim stawał się Vincy.

Końcowa scena samobójstwa obojga Starych przemieniła się jednak w koncert gry obojga. Pożegnanie ich na parapecie okna, a później skok w szumiące w dole morze były wstrząsające. Tak kończy każdy człowiek – mówił widzom Ionesco – bez względu na to, ile wysiłku włoży w swoje życie i jak mu się ono uda. Ale sposób, w jaki Vincy wykonał swój samobójczy skok, był niespodziewanie pełen wyzwania i wiary, optymizmu i zuchwalej naiwności. Skok w przyszłość, nie w nicość. Ewa Faraday spadła jak tłumoczek, jak rzecz, która towarzyszy człowiekowi.

Wiatr wydał teraz zasłony okien na scenie i powiały one jak sztandary. Światła zaczęły wzmagać się, rosnać, osiągnęły kulminację i nieomal oślepiły widzów, odbijając się od białych, pustych ścian dekoracji. Środkowymi, wielkimi drzwiami wszedł ten, który miał przekazać światu myśli i idee Starego.

Wszedł Mówca. Ubrany był zupełnie tak samo jak Stary, ale nie nosił maski. Głowę jego ocieniał wielki, czarny kapelusz. I teraz dopiero rozegrał się właściwy dramat.

Z ust Mówcy wydobył się nieartykułowany bełkot. Kilka razy zaczynał to, co miało być jego przemówieniem. Potem zrezygnował i rozejrzał się bezradnie. Obok niego stała wielka, czarna tablica. Mówca ujął lewą ręką kredę i spróbował pisać. Ale litery układały się w ten sam bełkot, którego treścią było tylko jedno: „Wszystko nie ma sensu, istnienie ludzkie jest bezproduktywne, tragiczne przez niemoc działania i niemoc porozumienia...”.

Kurtyna opadła wolno. Na sali była nadal cisza pełna skupienia. Aż wreszcie runął grzmot oklasków.

Kurtyna uniosła się ku górze, ukazując stojącego pośrodku sceny Mówcę. Owacje, które go spotykały w tej chwili, były wyraźnie adresowane do niego jako do reżysera tego wstrząsającego spektaklu. Mówca – Henryk Darcy – skłonił się lekko. Ale publiczność nie przestawała klaskać. Czekala na dwoje bohaterów wieczoru.

Kurtyna opadła i znowu poszła w górę. Z lewej strony weszła na scenę lekkim, młodzieńczym krokiem Ewa Faraday. Maskę trzymała w ręku przed sobą. Stała wyprostowana, podając spojrzeniom ludzkim swoją piękną, jasną twarz, tak bardzo niepodobną do twarzy, którą trzymała w ręce i która jeszcze przed chwilą była nieomal zrośnięta z całą jej sylwetką. Oklaski znowu urosły i opadły. A potem znowu urosły.

– Vin-cy! – zawołał jakiś głos, a potem inne podjęły za nim: Vin-cy! Vin-cy! Vin-cy!

Spojrzenia kierowały się w prawo, skąd według praw symetrii scenicznej powinien był się pojawić. Kurtyna opadła jeszcze raz i raz jeszcze poszła w górę, znów

ukazując tylko Ewę Faraday i Henryka Darcy'ego. Publiczność niezmordowanie biła brawo. Okrzyki „Vincy! Vincy!” przerywały rytm braw i znowu rozplywały się w oklaskach. Kurtyna jeszcze trzykrotnie poszła w górę i opadła. Ewa Faraday i Henryk Darcy stali nieruchomo, jak gdyby zawstydzeni owacją dla nieobecnego. Wreszcie kurtyna ostatecznie zapadła. Zabłyśły światła na widowni. Stefan Vincy się nie ukazał. Nieco zawiedziona publiczność ruszyła z wolna ku szatniom.

– To dziwne – odezwała się Karolina, wsuwając dłoń w rękaw swego płaszcza trzymanego przez Parkera. – Wydawałoby się, że dla tych ludzi, którzy z takim napięciem walczą o to, żeby się podobać publiczności, ukazanie się w chwili takiego triumfu powinno być prawdziwą przyjemnością. Widziałam Vincy'ego już tyle razy i zawsze miałam wrażenie, że lubi to ogromnie. Bywał nawet trochę staroświecki na innych spektaklach. Przykładał ręce do serca, kłaniał się nisko jak aktor z ubiegłego stulecia. A przecież nigdy prawie nie było takiej żywiołowej owacji. Rzadko zdarza się taka reakcja sali. A dziś nie wyszedł.

– Może to właśnie są ich sposoby... – zauważył Alex. – Jeżeli aż tak bardzo wam się podobam, to udam, że obojętne mi są wasze oklaski. Wtedy, oprócz podziwu, zyskam wasz szacunek. Może rozumować i w ten sposób. A może po prostu śpieszył się gdzieś bardzo? Na jakąś randkę albo pociąg?

Wyszli pośród tłumu ożywionego jeszcze bardziej niż w czasie przerwy. Wsiedli do auta. Klub Zielonego

Pióra, którego członkiem był Alex, znajdował się dość daleko od Chamber Theatre i dotarli tam dopiero po kwadransie. Przez cały czas milczeli wszyscy, rozmyślając nad sztuką. Dopiero kiedy zasiedli na wygodnych, miękkich krzeselkach, a Alex zamówił zakąski i napoje, nastrój pękł.

– Bardzo panu dziękuję za zaproszenie – powiedziała Karolina do Parkera. – To był niezapomniany wieczór. Myślę, że jeszcze nieraz będziemy o nim mówili... Niestety, zapomniałam, że nasza ekspedycja wkrótce wyrusza... – Zamyśliła się, a potem spojrzała na Alexa. – A może przyjechalibyście tam, panowie, kiedy inspektor otrzyma urlop?

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



@wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

JOE ALEX

ZBRODNIA, KTÓREJ NIKT NIE MÓGŁ POPEŁNIĆ

Tuż po przedstawieniu znany aktor grający główną rolę zostaje odnaleziony martwy w swojej garderobie. Ofiara nie cieszyła się zbyt dobrą reputacją i każdy ze świadków miał motyw, by zabić. Oprócz motywu wszyscy mają jednak również niepodważalne alibi...

JOE ALEX. Pod tym pseudonimem tworzył Maciej Słomczyński, który przetłumaczył wszystkie dzieła Williama Shakespeare'a. Autor przekładów literatury światowej, m.in. *Ulissesa* Jamesa Joyce'a. Twórca powieści sensacyjnych i kryminalnych.



bukowylas.pl

Cena: 39,90 zł